

Bohaterowie są w każdej z naszych rodzin. Bohater to ktoś, kto wsławił się szlachetnymi czynami, walczył w imię dobra i bronił słabszych. Takimi bohaterami są żołnierze Armii Krajowej, którzy nie wahali się poświęcić swojego życia w obronie Polski przed nazistami, bolszewikami i nacjonalistami z Ukrainy. Do Armii Krajowej należał brat mojej prababci – Tadeusz Szopiński ps. „Wyrwa”, a także mój pradziadek – Józef Mielniczuk.

Mój pradziadek Józef Mielniczuk w czasie wojny był jeszcze młodym chłopcem, chciał jednak jakoś pomóc w walce o Polskę. Przystąpił więc do partyzantów z Armii Krajowej i jako dziecko nie wzbudzające wielkich podejrzeń nosił meldunki między oddziałami. Dostał nawet białą-czerwoną opaskę z napisem „AK”, jednak jego ojciec kazał mu ją zakopać, gdyż nieważne czy przyszliby Niemcy, Sowieci czy „banderowcy”, za taką opaskę cała rodzina mogłaby zginąć. Jako że przebywał z partyzantami, poznał prawdę o zbrodni katyńskiej. Wiele lat później moja babcia Lucyna, niechcący usłyszała jak jej ojciec, a mój pradziadek rozmawiał ze swoim ojcem o Katyniu, zapytała ich o co chodzi z tym Katyniem. Wtedy pradziadek powiedział jej: „Córciu, mniej wiesz, dłużej żyjesz”.

Z kolei brata mojej prababki Janiny Mielniczuk zd. Szopa (Szopińska), można uznać za bohatera wojennego.

Urodził się w Nabrożu w 1922 r. Pochodził z rodziny, która nie posiadała zbyt wiele.. Jak opisywał Tadeusz: „Wychowywaliśmy się w drewnianej chałupie o dwóch izbach. Nie mieliśmy podłogi tylko ziemię pod nogami”. We wspomnieniach, spisanych i udostępnionych tylko rodzinie, wspomina swoje dziecięce lata, skłonność do zabawy i to, że miał powodzenie u dziewczyn, dlatego też nazywały go „babskim stryjem”. Kiedy był już nieco starszy, nie ominęły go obowiązki młodzieńca mieszkającego na wsi. Kosił trawę razem ze starszymi kosiarzami i mimo że to była ciężka praca, lubił ją, gdyż czuł się

bardziej dorośle. We wspomnieniach przyznaje się jednak do tego, że w tym okresie trzymały się go „głupie pomysły”. Już po wybuchu wojny, wraz z kolegami ukradli z niemieckiego składu pociski artyleryjskie i wrzucali je do ogniska. Podczas tej „zabawy” o mało co nie wysadzili krów, które mieli początkowo pilnować. Na szczęście krowy w ostatnim momencie oddaliły się na bezpieczną odległość od ogniska i poza strachem spowodowanym głośnym hukem wybuchów pocisków balistycznych, nic im się nie stało. Jak pisał Tadeusz: „ W sumie z takiej zabawy mieliśmy więcej strachu niż radości”.

W roku 1941, Niemcy poprzez sołtysów ogłosili przymusowy nabór młodzińców z czterech roczników. Niestety, był wśród nich rocznik 1922, wskutek czego Tadeusz musiał pojechać do Tomaszowa Lubelskiego na komisję poborową i został przydzielony do 500-osobowej grupy która miała wykopać nowe koryto rzeki Huczwy, aby skrócić zakręty rzeki nieopodal wsi Mikulin. Tak pracę przy kopaniu koryta opisywał Tadeusz: „Każdemu poprzez zaznaczenie pola palikami nakazano wykopać siedem kubików łąki dziennie. Jeśli ktoś nie wyrobił normy to nie szedł na obiad. Ja miałem trochę krzepy i zawsze swoją normę wykonałem, ale co siódmy Junak nie dawał rady”. Opisuje też dokładnie jakie racje żywieniowe wydawali im Niemcy. Były to: „ (...) jedno śmierdzące, uschnięte jajko, kawałek chleba i łyżka melasy, czyli odpadu z produkcji cukru. Do picia dawali nam gotowaną pokrzywę niesłodzoną, uprzednio skoszoną kosą”. Jednakże w tych ciężkich warunkach młodzi Polacy, jak i Ukraińcy (wówczas na terenach obecnych powiatów tomaszowskiego i hrubieszowskiego znaczną część ludności stanowili Ukraińcy) musieli sobie radzić, łowiąc ryby w Huczwie i piekąc je na ogniskach. Spali w baraku na 3-piętrowych pryzkach, a teren obozu był gęsto otoczony drutem kolczastym. Pewnego razu jeden chłopak uciekł z obozu zdobyć jedzenie. Niemcy pilnujący Junaków zauważyli jego nieobecność, mimo to poczekali aż wróci do obozu i dopiero wtedy zwołali zbiórkę na głównym placu. Na pytanie, kto uciekł z

obożu, nie przyznał się nikt. Nikt też nie wydał uciekiniera, dlatego też okupanci rozkazali wszystkim stać na baczność i wpatrywać się w Słońce. Komendant obożu, inspektor Hirszczyk, Czech pochodzenia niemieckiego, skrupulatnie pilnował tego, czy nikt nie odwraca wzroku ani nie zamyka powiek. Po tej karze Tadeusza przez następnych kilka dni niemiłosiernie bolały oczy. Mimo tych wszystkich przeciwności, wśród Junaków panowała jedność, kłótnie praktycznie się nie zdarzały.

Pewnej nocy pod teren obożu Huczwą podpłynęli partyzanci. Wyłączyli oni prąd i sterroryzowali strażników, uwalniając tym samym Junaków. Jednocześnie udawali Rosjan, głównie po to, by ludność miejscowa uniknęła represji w odwecie za akcje polskich partyzantów. Krzyczeli więc na chłopców, demonstracyjnie ich popychając: „Удирай в домой !”, co znaczy „Uciekajcie do domu!”.

Mimo że Tadeusz powrócił do domu, to nie na długo. Niemcy wywiesili ogłoszenia wzywające Junaków do powrotu. Jako że Tadeuszowi nieśpieszno było do powrotu, był obojętny na wezwania Niemców do czasu, aż jego ojca zabrano do Tyszowic i zapowiedziano, że dopóki Tadeusz nie wróci do Junaków nie wypuszczą jego ojca. Wtedy Tadeusz, uświadomiwszy sobie że prędzej czy później Niemcy mogą zabić jego ojca Dominika, postanowił udać się do Tyszowic oswobodzić ojca. Dominika uwolniono, zaś Tadeusz musiał się stawić w budynku liceum w Tyszowcach, gdzie czekał już na niego inspektor Hirszczyk. Tak Tadeusz opisał tamto „spotkanie”: „ Najpierw zapytał jaką chcę karę, na miejscu czy w karnej „aptajlung”. Pomyślałem, że wyślą mnie nie wiadomo gdzie i już nie wrócę. Wybrałem więc karę na miejscu. Wtedy inspektor zamknął drzwi na klucz, pasem wojskowym owinał swoją dłoń i drugim końcem z metalowym zakończeniem bił mnie gdzie popadło. (...)”

Potem kazał mi się umyć, bo byłem zakrwawiony. (...) Usłyszałem przy tym: „masz karu na miejscu”. Wyszedłem z obolałą i porozcinaną głową”.

Następnie Tadeusz opisuje wstąpienie w szeregi Armii Krajowej, a także solidarność polskiej ludności z „chłopcami z lasu”, szczególnie jeżeli chodzi o dostarczanie jedzenia. Gospodarze polscy nie bali się gościć partyzantów, gdyż wiedzieli za co oni walczą i chcieli im pomóc choćby w taki sposób. Jednocześnie Tadeusz ubolewa nad tym, że nie mógł zawitać w rodzinne progi nawet w święta by nie narażać swojej rodziny. Niemcy wiedzieli kim jest Tadeusz Szopiński – synem Dominika i Katarzyny Szopińskich, a przede wszystkim partyzantem. W związku z tym, by rodzina Tadeusza nie ucierpiała, zmienili oni nazwisko na Szopa i tak też jest napisane na ich nagrobkach.

We wspomnieniach można też odnaleźć sposób budowania specjalnych ziemianek w lasach: „Kopaliśmy w tym celu doły na 1,7 metrów w głąb ziemi. Z wierzchu przykrywano je belkami i liśćmi, tak, że z góry nie było widać. Podłogę wyścielaliśmy igliwem”.

Partyzanci mieli własną kuchnię polową i jedli posiłki dwa razy dziennie. Pościli jedynie przed zaplanowanymi bitwami, ponieważ jeżeli żołądek jest pusty, to rany się szybciej goją. Tadeusz w czasie dwóch lat w partyzantce miał trzy konie. Pierwszego stracił podczas ataku band UPA na wieś Posadów. Ukraińcom pomagali wtedy Niemcy, którzy uzbrajali UPA sądząc, że pomogą im oni w walce z Polakami i Sowietami. Tadeusz brał wtedy udział w bitwie w lesie posadowskim, którą partyzanci, mimo gorszego uzbrojenia wygrali. Tak opisał pobojuwisko: „Po bitwie brzoźki, które tam rosły grubości rękawa od kurtki zostały całkowicie poćcinane, a pole z daleka wyglądało jak ciernisko”. Opisuje też swojego dowódcę – por. Zenona Jachymka ps. „Wiktor” : „Ja się nie bałem i doceniałem odwagę „Wiktora”. Był on dowódcą z prawdziwego zdarzenia. Umiał trafnie ocenić sytuację i przewidzieć niebezpieczeństwo.

Doskonale kierował walkę, nie narażając przy tym swoich ludzi. Był bardzo spostrzegawczy i potrafił wszystko zorganizować”. Opisuje m.in. walki o Sahryń, Rzeplin oraz Modryń i bardzo ubolewa nad faktem, że często przychodzili zbyt późno, zastając pomordowaną ludność cywilną i spalone domy.

O okrucieństwie UPA opowiadała mi też moja prababcia, Józefa Kozak. Mówiła, że kiedy wrócili do rodzinnej wsi, Radkowa, po ucieczce przed UPA, zastali zgłiszcza i dziesiątkę pomordowanych w bestialski sposób sąsiadów, którzy wrócili za wcześnie. Na szczęście moja prababcia do Radkowa powróciła nazajutrz po masakrze i uniknęła śmierci z rąk Ukraińców, którzy nie zabijali karabinami tylko ostrymi narzędziami np. siekierą czy kosą, co dobitnie świadczy o tym, że Ukraińska Powstańcza Armia to była organizacja zbrodnicza, a nie niepodległościowa.

Wracając do Tadeusza Szopińskiego, opisuje on pewną sytuację, gdy naprzeciw oddziałowi wyszły dwie dziewczynki w wieku około 10 lat. Mówiły że są Polkami, jednak to nie przekonało kolegi Tadeusza, który chciał się z nimi rozprawić bronią. Tadeusz jednak go powstrzymał i dokładniej wypytał dziewczynki, po czym partyzanci odprowadzili je do najbliższej wsi. Następnego dnia w Dobużku do Tadeusza przybył jego kolega o nazwisku Wojciechowski i podziękował za uratowanie dziewczynek, które okazały się jego kuzynkami.

Innym razem opisuje zwiad jaki przeprowadził z kolegami za Posadowem. Jeden z jego kolegów był przebrany w mundur SS, Tadeusz był jego „tłumaczem” z języka niemieckiego na ukraiński, gdyż oba znał doskonale, a trzeci partyzant czekał z końmi w krzakach, by cała trójka w razie zagrożenia była gotowa do ewentualnej ucieczki. Gdy „SS-man” wraz z tłumaczem w postaci Tadeusza weszli do ukraińskiej chaty, zastali tam dwóch starszych ludzi

i piątkę talerzy z gorącymi pierogami. Gdy zapytali się dla kogo są pozostałe trzy talerze, Ukraińcy przekonani że rozmawiają z SS-manem, odpowiedzieli że dla ich zięciów i syna którzy zaraz przyjdą z CKM-em. Gdy wychodzili z chaty natknęli się na wspomnianych Ukraińców z CKM-em i zaczęli uciekać na koniach. Ukraińcy długo się nie namyślając otworzyli za nimi ogień, trafiając konia Tadeusza, który ledwo co dobiegł do lasu, a potem zdechł. Tak stracił drugiego konia, jednak największą więź poczuł z tym trzecim: „Najbardziej utkwiał mi w pamięci trzeci koń, którego dano mi do dyspozycji – szpakowatej maści Arab. To piękne w swoim rodzaju, mądre i wyszkolone zwierzę nazwałem Grześ. Koń ten bardzo też się do mnie przyzwyczał”. Opisuje też swoją misję polegającą na dostarczeniu meldunku, kiedy to zauważył go niemiecki oddział: „W pewnym momencie koń mój potknął się na topniejącym lodzie i z galopu runął na kolana. Myślałem wtedy, że jakaś kula go dosięgła. Sam zrobiłem parę fikołków do przodu. Niemcy strzelali bez ustanku. Nie wierzyłem, że mój koń jeszcze się podniesie. Wyjąłem czapki meldunek i włożyłem do ust, ale nie połykałem, czekając na gorszą chwilę. Powiedziałem: co ci Grzesiu, wstawaj dam ci cukru, chodź. Z niedowierzaniem patrzyłem jak Grześ podnosi się, otrząsa i idzie do mnie. Zerwałem się, dosiadłem go i uciekłem dalej”.

Tymczasem nieuchronnie zbliżała się linia frontu wschodniego. Ludzie uciekali ze wschodu przed frontem i jak to celnie ujął Tadeusz: „Wraz z ludźmi wyganiano Polskę”. Podczas odwrotu swych wojsk, Niemcy zabierali wszystko co mogłoby im być potrzebne. Niestety zabrali też ukrytego wśród innych koni Grzesia. Tadeusz dowiedział się potem, że widziano go wśród innych zabitych zwierząt pod Lublinem. Poznano Grzesia po tym, że był niepowtarzalnej maści. Tamtego dnia Tadeusz poczuł, że stracił kogoś bliskiego.

Kiedyś, gdy uciekał przed Niemcami, ukrył się w kaplicy cmentarnej w Nabrożu, gdzie siedział dopóki okupanci nie przestali go szukać. Przez trzy dni i trzy noce przebywał w zupełnej ciemności wraz z umarłymi. Wielu straciło by po takim wydarzeniu zmysły. On zachował jednak trzeźwość umysłu i powrócił do oddziału.

Pod koniec lipca 1944 roku do oddziału „Wiktora” doszedł rozkaz złożenia broni i wstąpienia w szeregi Armii Czerwonej w celu dalszej walki z Niemcami. „Wiktor” dał jednak swoim podwładnym wolną rękę: mogli wrócić do domów, wstąpić do Armii, bądź dalej walczyć, tym razem z Sowietami. Większość, mając na uwadze bezpieczeństwo rodzin zdecydowało się wstąpić do Armii, chociaż wcale nie okazywali entuzjazmu. Tadeusz przed wyjazdem na linię frontu pod Warszawę, przechodząc obok swojego domu zapukał tylko w okno i krzyknął: „Mamo, żyję!”.

Tadeusz wraz z resztą oddziału siedmioma ciężarówkami w wielkim ścisku, przejechali pod Warszawę, mając nadzieję, że pomogą powstańcom warszawskim w ich walce. Niestety, Sowietci nie wpuścili ich do stolicy. Wszystkim żołnierzom z oddziału „Wiktora” ciężko było oglądać płonąca stolicę i mieć poczucie, że nic w tej sprawie nie można zrobić. Po tych wydarzeniach Tadeusz rozstał się z towarzyszami broni i powrócił do domu.

Znowu pobyt Tadeusza w domu nie był zbyt długi, gdyż Sowietci ponownie wcielili go do wojska, tym razem przydzielając go do 35. Pułku Piechoty II Armii Wojska Polskiego. Brał udział w marszu na Berlin, podczas którego m.in. zabił snajpera z broni przeciwpancernej który ukrywał się w wieży w drewnianym kościele i zniszczył niemiecki czołg.

Zaproponowano mu posadę dowódcy kompanii, odmówił jednak, gdyż po pierwsze nie był pewny intencji Sowietów, a po drugie nie chciał brać odpowiedzialności za ludzi. 30 km przed Berlinem jego oddział skręcił na

Drezno, gdzie jego batalion poniósł ciężkie straty. Dość powiedzieć, że oprócz Tadeusza przeżyło dwóch jego kolegów, a Tadeusz został ranny i przewieziony do szpitala w Lubartowie. Gdy jechał nieopodal Zamościa, spotkał ojca, który jechał w przeciwnym kierunku szukając go. Ojciec dosiadł się do niego i pojechali razem do Lubartowa. W tym czasie Niemcy skapitulowały i II Wojna Światowa dobiegła końca. Zaraz po wyjściu ze szpitala znowu wcielono go do wojska, tym razem jako inwalida mógł znaleźć się tylko w oddziale zaopatrującym wojsko. Dlatego też zbierał warzywa w PGR-ze pod Kruszwicą. Potem zgłosił się do sekcji ekshumacyjnej i wydobywał ciała poległych żołnierzy ze zbiorowych mogił, gdzie leżały przez 2 miesiące. Wytrzymał tydzień, inni odchodzili po jednym dniu.

Tadeusz Szopiński ps. „Wyrwa” został odznaczony wieloma orderami m.in. „Walecznym na Polu Chwały”, „Polonia Restituta”, „Partyzantom za Polskę , Wolność i Lud”, „Armia Krajowa” i najważniejszym polskim odznaczeniem wojskowym „Virtuti Militari”. Otrzymał też szereg odznaczeń radzieckich jak np. „Za Odre, Nysę i Bałtyk”.

Pod koniec wspomnień opisuje to, że wojna zostawia ślady nie tylko na ciele, a również na psychice. Jego sąsiad z Nabroża przeżył Majdanek i do końca życia chował buraki pastewne po kątach, które w obozie koncentracyjnym nie były nawet w sferze marzeń, a sam Tadeusz bał się pójść do spowiedzi przez 5 lat, gdyż podczas „ściągnięcia” snajpera z wieży kościelnej spłonął cały kościół. Gdy powiedział o tym księdzu ten początkowo krzyknął na niego: „Ty barbarzyńco”. Potem jednak wysłuchał Tadeusza, który tłumaczył że to był rozkaz i powiedział mu że jeżeli zrobił to pod rozkazem, to nie był to grzech.

Po wojnie Tadeusz założył rodzinę i zajmował się kopaniem studni. Było to zajęcie niezwykle dochodowe, gdyż za jeden „beton” otrzymywał 100 zł, a za

wykopanie jednej studni można było kupić krowę. Pewnego razu oczyszczając jedną ze studni znalazł 3 rozkładające się ciała, choć jak napisał, widok taki nie był mu obcy, tak więc zniósł i to.

Z czasem zapotrzebowanie na studnie malało. Dlatego też Tadeusz w 1982 roku sprzedał gospodarstwo i przeniósł się do Chełma, gdzie mieszkał do końca swych dni. Zmarł w 2010 r. tuż po spisaniu wspomnień.

Tadeusz „Wyrwa” Szopiński jest przykładem człowieka który przeszedł metamorfozę z niesfornego młodzieńca do żołnierza AK walczącego o wolną Polskę. Ostatnie zdanie jego wspomnień brzmi: „Przypominanie wydarzeń z czasów wojny jest dla mnie bolesne i powoduje gorsze samopoczucie, ale pamięć o minionych dziejach dla przyszłych pokoleń może być ważna”. I jest ważna, gdyż jak mawiał Marszałek Józef Piłsudski: „Naród, który traci pamięć przestaje być Narodem – staje się jedynie zbiorem ludzi, czasowo zajmujących dane terytorium”.

Jakub Tłuczek

*Pracę opracowałem na podstawie wspomnień spisanych przez Tadeusza „Wyrwę” Szopińskiego, oraz na podstawie rozmów z dziadkami.*



Budynek Liceum w Tyszowcach gdzie był torturowany Tadeusz Szopiński



Tadeusz „Wyrwa” Szopiński



Kaplica w której ukrywał się Tadeusz Szopiński



Józef Mielniczuk w latach młodości



Józef Mielniczuk



Zdjęcie Józefa Mielniczuka ze służby w wojsku (pierwszy z prawej)



Najwyższe odznaczenie wojskowe w Polsce- Virtuti Militari